

wiosennego, gdy ulica przerzedziła się nieco, ujrzał po przeciwniejszej stronie smugę jakiegoś nieznanego światła. Podobną smugę zostawiała na podłodze kopczą lampka, zaświecona przez matkę w jego izdebce. Przypatrywał się jej długo, jednak była ładniejsza, o wiele więcej błyszcząca.

— Matulu — zawołał.

— Co tam chcesz synku?

— Chodźcie — no — co to jest? — zwrócił się do stojącej obok matki, co to jest — powtórzył pokazując paluszkami smugę świetlną, w której kapał się widziany przez niego kawałek chodnika.

— To?... słońce — odparła zdziwiona Mikołajowa. Słońce, synku, tak świeci ładnie i grzeje, dodała, gładząc go szorstką ręką po głowie.

— Chodźmy tam — rzekł.

— Oj, nie mogę synku — westchnęła, muszę iść prac, a ty sam nie możesz iść Franuś. Tam jeżdżą wozy, samochody... Ale pójdziemy tam w niedzielę, synku.

— Mikołajowa — rozległ się krzyk z podwórza.

— O, widzisz już wołają mnie! Idę, już idę.

Od tego dnia Franuś ciągle siedział przy oknie przypatrując się jasnym blaskom słońca, chłonąc je swym wzrokiem.

— Słońce — myślał — świeci tak ładnie i grzeje — powtarzał zdanie matki.

Grzeje! A jemu tak zawsze było zimno! I każdego dnia zameczał matkę pytaniami: skąd się wzięło słońce, dlaczego nie świeci do jego okienka, tylko tam...

Tłumaczyła mu, jak mogła i jak umiała, przyrzekając, że w niedzielę pójda na słońce na pewno. Roboty miała huk i nawet w nocy stała przy balji. Dlatego też pewnie nie widziała, że Franuś robi się coraz bledszy, bielszy. I

tylko oczy świecą mu gorączkowo.

— Matulu — ja chcę na słońce, mówił co chwilę.

— Dobrze — synku. — pójdziemy we święto.

Tymczasem w oczekiwaną niedzielę padało cały dzień, więc gdy wreszcie po kilku dniach zajaśniało słońce, Franuś postanowił iść sam. Matki właśnie nie było, kuma-staruszka, która go pilnowała zdrzemnęła się trochę. Franuś zsunął się z łóżka, powoli,* ostrożnie. Wdrapał się na schody, do sieni, stamtąd już bardzo łatwo na podwórze. Zmęczył się, — więc spoczął pod murem szeroko otwartymi oczyma chłonąc roześmiany błękit nieba.

Tu spotkały go znajome kobiety:

— Gdzież-ta idziesz Franuś — spytała jedna.

— Na słońce! — odpowiedział cichutko onieśmielony gwarem panującym i znów sunął na swych nóżkach, powłókł się do bramy, gdzie kończył się zresztą już cały jego świat. Nawet w niedzielę dalej nie wychodził!

Ale za tą bramą było słońce. Ledwie z niej wyszedł a raczej wysunął się, ogarnął go strach! Do tego słońca trzeba było przejść przez jezdnię, na której ruch był jak zwykle ogromny.

Chłopiec zatrzymał się chwilę, lecz tylko chwilę, zbyt nęciły go blaski słoneczne. Sunął więc dalej zapatrzonego w nie, rozgorączkowany... i nic nie widzący.

Nagle warkot maszyny tuż, tuż! Czyjś krzyk przerażenia — gdy Franuś był już na jezdni... gwałtownie, lecz zapóźno zatrzymana wykwinęła maszyna i...

Małe zmiażdżone ciało chłopca, co szedł na słońce, by ogrzać w jego królewskim blasku rachityczne nóżki, lecz.... nie doszedł,